

Mitość ponad prawem

Zrozumiał, jak bardzo mu na niej zależy,
dopiero wtedy, gdy poczuł, że może ją stracić...

ANGELIKA ŁABUDA

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Niniejszy utwór jest fikcją literacką. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci — żyjących obecnie lub w przeszłości — oraz do rzeczywistych zdarzeń losowych, miejsc czy przedsięwzięć jest czysto przypadkowe.

Redaktor prowadzący: Justyna Wydra
Zdjęcie na okładce wykorzystano za zgodą Shutterstock

Helion S.A.
ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice
tel. 32 231 22 19, 32 230 98 63
e-mail: editio@editio.pl
WWW: <http://editio.pl> (księgarnia internetowa, katalog książek)

Drogi Czytelniku!
Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres
<http://editio.pl/user/opinie/mipopr>
Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

ISBN: 978-83-283-8182-7

Copyright © Angelika Łabuda 2022

Printed in Poland.

- Kup książkę
- Poleć książkę
- Oceń książkę

- Księgarnia internetowa
- Lubię to! » Nasza społeczność

Rozdział 1

Maribel

Jeszcze tylko trzy miesiące. Dasz radę, Maribel!

Z tymi słowami wstawałam codziennie rano, a dokładniej o piątej dwadzieścia pięć. Miałam wtedy dość czasu, aby przyszykować się do pracy. Normalni ludzie zaczynają ją o siódmej lub ósmej, jednak mój szef nie uznawał kompromisów ani określonego na mocy prawa wymiaru czasu pracy. To było naprawdę dziwne, przecież prowadził kancelarię prawniczą.

Nie zastanawiając się dłużej, wstałam z łóżka i podeszłam do szafy stojącej po przeciwnej stronie, tuż obok okna. Nowy Jork budził się do życia, a najlepszym na to dowodem byli pracownicy ulicznych budek z kawą i pączkami, którzy w pośpiechu rozkładali wielkie, kolorowe parasole nad stolikami. Moje małe mieszkanie znajdowało się w centrum, dzięki czemu stanowiło świetny punkt widokowy na miasto.

Uśmiechnęłam się pod nosem i wyciągnęłam wieszak z wyprasowaną białą koszulą oraz ołówkową czarną spódnicą. Z szafki obok wyjęłam zestaw nowej koronkowej bielizny i pończochy w odcieniu jasnego beżu. Ułożyłam ciuchy na krzesło i przeszłam do łazienki, która znajdowała się przy sypialni. W pośpiechu umyłam zęby oraz twarz, po czym wykonałam delikatny makijaż. Nie lubiłam mocno podkreślać swojej urody, i tak odznaczałam się na tle innych Amerykanek, a to wszystko przez moje hiszpańskie korzenie. Długie, czarne włosy, które sięgały mi za pas, podkręciłam lekko i spięłam w wysoki kucyk. Wróciłam do sypialni i przebrałam się we wcześniej przygotowane ubrania. Z szafki nocnej chwyciłam telefon i z przerażeniem stwierdziłam, że zegar wskazuje piątą czterdzieści. Miałam zbyt mało czasu, aby zjeść śniadanie.

W biegu więc założyłam czarne szpilki oraz chwyciłam torebkę, po czym wyszłam z mieszkania.

Na drogach powoli zaczynały pojawiać się pierwsze samochody, a słońce wznosiło się na bezchmurnym niebie nad East River. Zapowiadał się piękny, słoneczny, kwietniowy dzień. Dokładnie za trzy miesiące, pierwszego lipca, będę wolna. Wolna od egocentrycznego, samolubnego oraz upierdliwego szefa, który każdego doprowadzał do białej gorączki. Tak, wiedziałam, że przesadzam, bo Liam to w głębi duszy dobry człowiek, ale byłam już nim zmęczona. Zamknęłam na pięć sekund powieki i wzięłam głęboki wdech, a następnie powoli wypuściłam powietrze. Uśmiechnęłam się szeroko i ruszyłam pewnym krokiem przed siebie. Rozglądając się na prawo i lewo, przeszłam przez pasy i udałam się do pobliskiej kawiarni. Wchodząc do środka, przywitałam się z właścicielem, którego zdążyłam dobrze poznać przez ostatnie dziesięć lat. Codziennie zamawiałam u niego podwójne espresso z mlekiem kokosowym dla mojego dyrektora oraz mrożoną herbatę brzoskwiniową dla siebie.

— Proszę, Maribel, twoje zamówienie. — Starszy mężczyzna w białym uniformie podał mi dwa kubki zapakowane w tekturowe pudełko.

— Dziękuję, Sam. Jesteś najlepszym baristą w mieście! — odpowiedziałam szczerze i upiłam łyk swojej herbaty. — Wpadnę w niedzielę, by się rozliczyć.

Pożegnałam się z Samem i wyszłam z kawiarni. Dzięki jego uprzejmości nie musiałam płacić codziennie za napoje, rozliczaliśmy się dopiero po upływie całego tygodnia. Tak było dużo szybciej i łatwiej dla mnie.

I pomyśleć, że kiedy zaczynałam pracę w Wilson Law Group, ledwo wyrabiałam się ze wszystkim! Początki były naprawdę ciężkie. Praca osobistej asystentki takiego człowieka, jakim jest Liam Wilson, nie jest prosta, a już na pewno nie jest przyjemna. Nieregularne godziny pracy, konieczność uczestniczenia w spotkaniach służbowych, pilnowanie napiętego kalendarza dyrektora, wymyślanie co rusz nowych wymówek dla jego kolejnych kobiet, kupowanie im prezentów, kwiatów, analizowanie nowych kontraktów i przetargów... A to wszystko to zaledwie czubek niewyobrażalnie dużej góry lodowej. Czasami odnosiłam wrażenie, że dyrektor nie czerpie z życia przyjemności. W końcu praca jest ważna, ale czy cena, jaką płaci, aby być w czołówce rankingu najlepszych prawników na świecie, nie jest zbyt wysoka?

Ponownie przeszłam przez pasy i skierowałam się w stronę służbowego samochodu. Był to prezent od dyrektora z okazji mojego pięcioletnia w firmie, przynajmniej tak myślałam na początku, kiedy dostałam swojego czarnego mercedesa klasy C. Prawda okazała się jednak inna, gdyż od tamtego dnia czasami pracuję również jako kierowca, odbierając po nocach dyrektora z jego prywatnych spotkań.

Wsiadłam do auta i ostrożnie ułożyłam na fotelu pasażera kartonik z napojami i torebkę, po czym zapięłam pasy i wcisnęłam przycisk uruchamiający silnik. Już miałam zamiar odjechać, gdy usłyszałam dzwonek w telefonie. Szybko go znalazłam i odebrałam.

— Dzień dobry, panie dyrektorze — przywitałam się z należytym szacunkiem ze swoim przełożonym i przygryzłam dolną wargę.

— Witaj, Maribel — odpowiedział chłodno. *No cóż, to jednak nie będzie piękny dzień*, pomyślałam. — Jest szósta, a więc masz jedynie dziesięć minut, by przyjechać tutaj z moją kawą. Nie muszę ci przypominać, jak bardzo nie lubię spóźnień, czyż nie?

Przewróciłam oczami i potarłam wolną ręką czoło, poprawiając przy okazji parę kosmyków włosów.

— Już jadę, dyrektorze — odpowiedziałam radośnie, chociaż w środku cała aż się gotowałam. Ten dupek nawet nie zna takich słów jak „proszę”, „przepraszam” czy „dziękuję”. Wszystko musi mieć podane na tacy, i to punktualnie, bo inaczej jego doba nie będzie już taka perfekcyjna, jak sobie założył.

— Radzę ci się pośpieszyć. — Nim zdążyłam odpowiedzieć na te słowa, zdążył się rozłączyć. Włożyłam telefon do schowka w drzwiach i ruszyłam z piskiem opon, nie sprawdzając w lusterkach, czy coś jedzie. Na moje szczęście ruch był niewielki, więc swobodnie przemierzałam ulicę w kierunku Uniwersytetu Rockefellera, obok którego znajdował się apartament dyrektora.

Zatrzymałam auto pod wielkim drapaczem chmur wykonanym ze szkła. Promienie słoneczne odbijały się od niego i odnosiłam wrażenie, że gdzieś tam tworzą tęczę. Wsiadłam z auta, poprawiłam spódnice, wyjęłam kubek z kawą dla dyrektora, telefon oraz torebkę i wręczyłam kluczyki od samochodu ochroniarzowi, który stał przed drzwiami.

Przywitał mnie skinieniem głowy, a następnie pojechał zaparkować samochód w garażu podziemnym.

W tym czasie zdążyłam wpisać kod do drzwi i wejść do apartamentu, który znajdował się na samym dole. Dyrektor nie lubił zbyt wysoko. Gdy weszłam do środka, za sprawą kilku nawilżaczy powietrza poczułam znajomy zapach jaśminowej pary. Mieszkanie było niezwykle luksusowe. Jego wnętrze urządzali topowi projektanci z Włoch, którzy zadbali o każdy najmniejszy szczegół.

— Minuta spóźnienia. — Zza pleców dobiegł mnie ciężki głos dyrektora. Poczułam nieprzyjemny dreszcz na całym ciele, ale postanowiłam to zignorować. Odwróciłam się szybko w stronę mężczyzny i ujrzałam ideał każdej kobiety. Nawet w samej piżamie i szlafroku wyglądał zniewalająco. Kruczoczarne włosy ułożone do tyłu, niebieskie oczy, które mogłyby konkurować z niejednym oceanem, idealnie zarysowana szczęka.

— Byłam punktualnie, panie Wilson, jednakże musiałam przekazać kluczyki od samochodu pańskiemu ochroniarzowi — odpowiedziałam i podałam mu kubek.

Wilson zacisnął mocniej pasek od szlafroka i wziął ode mnie kawę.

— Wiesz, że nie lubię tłumaczeń. — Upił łyk i obszedł mnie, kierując się do salonu.

Odłożyłam torebkę na drewnianą szafkę w przedpokoju i udałam się za szefem. Okna w tym pomieszczeniu zaczynały się tuż przy podłodze i kończyły przy suficie, były wykonane z lustra weneckiego. Ludzie obecni wewnątrz mieszkania mogli zobaczyć, co się dzieje na zewnątrz, jednak przechodnie widzieli jedynie swoje odbicia. Dzięki temu można było się tu czuć swobodnie. Ściany wykonano z białych paneli, a podłogę z czarnych. Ten kontrast robił tutaj naprawdę dobre wrażenie. Trzyczęściowa kanapa stała na samym środku, a tuż przy niej znajdował się niski, szklany stół, na którym stał wazon ze świeżymi kwiatami. Oprócz podstawowego wyposażenia znajdował się tu również fortepian. Nigdy nie słyszałam, żeby pan Wilson grał na nim, jednak wyglądał na używany, gdyż kartki z nutami codziennie się zmieniały.

— Pójdę przyszykować dla pana garnitur na dzisiaj. — Zaczęłam powoli swoją codzienną rutynę. — Tutaj jest pana plan na dzisiejszy dzień. — Wręczyłam mu jego tablet, na który wczoraj przesłałam zaktualizowany harmonogram.

— Czy to dzisiaj ma się odbyć gala charytatywna? — Wilson usiadł na kanapie i uruchomił tablet.

— Tak. Wszystko jest zapisane w kalendarzu, wystarczy przytrzymać palec na wybranym wydarzeniu, a otworzą się moje notatki oraz uwagi dotyczące poszczególnych osób, z którymi nie chciał pan utrzymywać kontaktów.

Praca dla Wilsona wymagała wielu poświęceń. Nie mogłam normalnie spędzać z przyjaciółmi czasu po pracy, ponieważ musiałam być dyspozycyjna dwadzieścia cztery godziny na dobę. Nigdy nie wiedziałam, kiedy dyrektor do mnie zadzwoni lub będzie potrzebował mojej pomocy. Czasami były to naprawdę błahe lub głupie sytuacje, ale nie mogłam tego komentować, w końcu płacił mi dobrą pensję za wykonywanie zadań, a nie ich analizowanie.

Zostawiłam Wilsona na kilka minut, aby mógł przejrzeć resztę harmonogramu, i udałam się do garderoby, która była połączona z jego prywatną sypialnią. W mieszkaniu było łącznie pięć sypialni, a łazienek trzy. W garderobie na wieszakach po jednej stronie wisiały świeżo wyprane i wyprasowane garnitury od znanych projektantów. Po przeciwnej — koszule w różnych stonowanych odcieniach oraz krawaty. W szufladach pod nimi posegregowane były pudełka z zegarkami oraz zapinkami. Przejrzałam wszystko po kolei i wybrałam klasyczny czarny garnitur, białą koszulę i ciemnogrnatowy krawat w złote prążki. Do tego dobrałam złoty zegarek na skórzanym pasku i złote spinki do mankietów. Tak przyszykowaną stylizację ułożyłam w jego sypialni, na łóżku przykrytym satynową pościelą.

— Panie dyrektorze, wszystko przygotowane. — Wróciłam do salonu, gdzie zastałam Wilsona w dokładnie takiej samej pozycji, w jakiej go zostawiłam.

— Dobrze. Możesz zadzwonić do Davisa i powiadomić go o naszym spotkaniu. Odbędzie się, jak tylko wreszcie stąd wyjdziemy. — Lekko zdenerwowany szef poszedł się przebrać. W tym czasie wyrzuciłam pusty kubek po jego kawie do kosza, umyłam ręce i skontaktowałam się z dyrektorem od spraw budżetu.

— Dzień dobry, dyrektorze Davis. Dyrektor Wilson przyjdzie do pana, gdy tylko zjawimy się w firmie. Proszę się przygotować na spotkanie, bo nie jest dzisiaj w najlepszym humorze. — Ostatnie słowa dodałam

bardzo cicho, z obawy, że Wilson może mnie usłyszeć. Zawsze zaskakiwał mnie, gdy najmniej się tego spodziewałam.

Po skończonej rozmowie udałam się do niego.

— Wszystko załatwione, dyrektorze. Możemy jechać do firmy — poinformowałam go z uśmiechem na twarzy, na co on tylko przytaknął głową. Zero podziękowań, zero uprzejmości. *Ten facet jeszcze będzie za mną płakał, niedługo po moim odejściu. Ciekawa jestem, jak się zachowa, gdy się o nim dowie.* Podejrzywałam, że spłynie to po nim jak odejście każdego innego pracownika.

Rozdział 2

Liam

Maribel ponownie świetnie się spisała. Jak zawsze wybrała idealny zestaw ubrań, przyjechała punktualnie, chociaż drzwi do mojego mieszkania przekroczyła z minutowym opóźnieniem. Codziennie wypatrywałem jej przez weneckie okna, które świetnie sprawdzały się do takich zadań. Poranki wraz z nią mogłyby trwać w nieskończoność.

— Maribel, idź, proszę, do samochodu, ja za chwilę do ciebie dołączę — powiedziałem, zakładając krawat.

— Dobrze. Jedziemy z kierowcą czy mam wziąć swój samochód?

O nie. Dzisiaj stanowczo wolę, abyś siedziała koło mnie z tyłu, Maribel.

— Poinformuj Willa, że dzisiaj jedzie z nami — odpowiedziałem stanowczo i zacisnąłem pod szyją jedwabny materiał.

Maribel odwróciła się i wolnym krokiem udała w stronę drzwi. Widziałem ją niczym w zwolnionym tempie. Jej długie włosy, związane w kucyk, bujały się na prawo i lewo, gdy kroczyła w wysokich szpilkach po czarnych panelach. Ołówkowa spódnica świetnie podkreślała jej zgrabny tyłek, a biała koszula prześwitywała w pewnych miejscach, pokazując odrobinę ciała.

Miałem niesamowite szczęście, że Maribel trwała u mego boku już od dziesięciu lat. Ta kobieta nigdy mnie nie rozczarowała. Nawet wtedy, gdy dawałem jej ciężkie, wręcz niemożliwe do wykonania zadania, ona dawała z siebie wszystko i udowodniała swoją lojalność oraz chęć do pracy. Mimo że nie skończyła żadnych studiów, reprezentowała sobą dużo więcej niż niejedna dziewczyna po nich.

Odczekałem parę minut, aby Maribel i kierowca wszystko przygotowali, i wyszedłem z apartamentu. Pod drzwiami stał już mój najnowszy

nabytek, biały lexus Lx 570, którego duże gabaryty dawały poczucie większej przestrzeni niż w typowym sedanie. Wnętrze samochodu pokrywała czarna, skórzana tapicerka, a przód od tyłu oddzielała automatyczna szyba.

Will, najmłodszy z moich kierowców, ale bardzo ambitny i pracowity, otworzył przede mną drzwi. Poklepałem go po ramieniu i lekko uniosłem prawy kącik ust w coś na kształt uśmiechu. Zmieszany chłopak powiedział tylko:

— Dzień dobry, dyrektorze Wilson. Zapraszam do środka.

— Dzień dobry — odpowiedziałem i zająłem miejsce obok Maribel. Miała skrzyżowane w łydkach nogi, jednak jej spódnica i tak delikatnie podciągała się do góry, odsłaniając szczupłe nogi. Skupiona dziewczyna pisała coś w telefonie.

— Przejrzałem listę osób, które mój ojciec zaprosił na bal charytatywny. Wykreślił z niej Michelle. Nie chcę widzieć swojej byłej na tej imprezie.

Maribel od razu przerwała pisanie i spojrzała na mnie błagalnym wzrokiem. Odniosłem wrażenie, że w jej oczach pojawiają się za chwilę łzy.

— Dyrektorze, proszę wybaczyć, ale nie mogę tego zrobić. Listę osobiście układał pan ojciec, nie jestem w stanie z niej nikogo wykreślić. Tym bardziej że panią Kingstone jest uważana za pańską narzeczoną.

— A czy ja kiedykolwiek jej się oświadczyłem? — uniosłem głos, aż kierowca zerknął na nas w lusterku wstecznym. — Skup się na drodze, Will — burknąłem do niego, a on tylko odchrząknął i wrócił wzrokiem na drogę.

— Nie, nie oświadczył się pan, jednakże pański ojciec... — zaczęła powoli, ale natychmiast jej surowo przerwałem.

— A mój ojciec ma gówno do gadania. Nie wiem, jak to załatwisz, ale dla wszystkich lepiej będzie, jeśli jej tam dzisiaj nie spotkam.

Odwrociłem głowę w stronę okna. Jechaliśmy powoli, gdyż na drogach tworzyły się już poranne korki. *Wręcz cudownie*, pomyślałem. Przetarłem oczy i przeczesalem nerwowo włosy. Maribel powróciła do swoich czynności sprzed chwili, przygryzała przy tym dolną wargę. Kurwa, jak na mnie to działało.

— Porozmawiam z ojcem na ten temat — dodałem po chwili. — Umów nas na spotkanie. Dzisiaj.

— Dobrze, panie dyrektorze — odpowiedziała z tym swoim uśmiechem na twarzy.

Czasami zastanawiałem się, czy to jest szczerzy uśmiech, czy sztuczny, na siłę przyklejony do twarzy. Nikt tak jak ja nie doprowadzał ludzi do białej gorączki, ale przecież byłem idealny, perfekcyjny. Wszystko musiało być tak, jak ja powiedziałem, w końcu za trzy miesiące miałem objąć funkcję prezesa. Ojciec po kilkudziesięciu latach pracy dla kancelarii i dla grupy Wilson Law postanowił odejść na emeryturę i powierzyć mi to stanowisko.

Dojeżdżając pod siedzibę Wilson Law Group, poczułem napływający spokój. To w tym miejscu czułem się wielki i pewny siebie. To tutaj ludzie traktowali mnie z szacunkiem i bali się odezwać, aby nie podpaść. Tylko asystentka Maribel mogła kroczyć za mną krok w krok i być obecna przy każdym spotkaniu. Tylko ona mogła odzywać się niepytana i nieproszona, gdyż wiedziała dokładnie, co powiedzieć. Ceniłem jej profesjonalizm, a jeszcze bardziej uwielbiałem słuchać jej głosu, który wprowadzał mnie w dodatkowe poczucie komfortu.

— Komitet powitalny czeka — rzekłem z błyskiem w oku i poczekałem, aż Will otworzy drzwi z mojej strony. Maribel zdążyła już wysiąść z auta i dołączyć do grona pozostałych pracowników, którzy czekali przed głównym wejściem.

Po wyjściu z samochodu zapiąłem marynarkę na środkowy guzik i przecesałem odruchowo włosy do tyłu. Włoskie, lakierowane buty mieniły się w słońcu. Współpracownicy ukłonili się z gracją przede mną, okazując mi w ten sposób należyty szacunek. Prawidłowo. Dzisiaj nikogo nie zwolnię, chociaż aż mnie korci, aby przykręcić śrubę w mojej kancelarii.

— Witamy, dyrektorze Wilson — powiedzieli chórem przedstawiciele działu prawnego, składającego się z trzech kobiet i pięciu mężczyzn. Każda z tych postaci wydawała mi się obca. To Maribel była odpowiedzialna za relacje z pracownikami i nieraz musiała mi przypominać, jak poszczególne osoby się nazywają.

— Dzień dobry wszystkim, proszę mnie dzisiaj nie zawieść i sumiennie wypełniać swoje obowiązki. — Przystanąłem na chwilę przy grupce osób, które ewidentnie denerwowały się moją obecnością. Wskazałem palcem ku górze i uśmiechnąłem się delikatnie. — Pamiętajcie, że wszyscy pracujemy tutaj dla naszego wspólnego interesu. Nie

chcę nikogo dzisiaj zwolnić, więc dopilnujcie każdej sprawy osobiście. Niech nasi klienci będą zachwyceni tym, że współpracują z grupą Wilson.

— Tak jest, dyrektorze! — krzyknęli zgrani niczym wojskowi przed swoim dowódcą.

I tak ma być. To ja tutaj rządzę, a za trzy miesiące będę wami wszystkimi władał.

— Maribel, prowadź, proszę, do dyrektora Davisa. Pora trochę się rozerwać. — Szturchnąłem ją lekko ramieniem i wskazałem kierunek do drzwi automatycznych, które się przed nami otworzyły.

Grupka ludzi szła za nami, gdy wchodziliśmy do środka. Pozostali pracownicy nerwowo wykonywali swoje obowiązki, widząc nasze wielkie wejście. Rzadko się zdarzało, abym przychodził do pracy z obstawą, jednak co jakiś czas w poniedziałek, wraz z początkiem nowego tygodnia, wypadało podkreślić, z czyjej ręki mają chleb, aby lepiej pracowali.

— Dyrektorze, proszę pamiętać, że pan Davis pracuje u nas od lat, szkoda by było go zwolnić. Prawdopodobnie jego zachowanie to chwilowy kryzys, związany z problemami rodzinnymi. — Maribel starała się bronić tego skurczybyka, który prawie pogrążył naszą kancelarię, ale nie miałem zamiaru pozwolić, by uszło mu to na sucho.

— Maribel, nie wtrącaj się w to, dobrze? — Popatrzyłem na nią zło- wrogo, gdy dotarliśmy do windy.

Nasza kancelaria mieściła się tuż przy Times Square, dlatego musieliśmy wykupić cały budynek na wyłączność, aby turyści z całego świata nie wchodzili tutaj jak do siebie. Maribel wcisnęła guzik przywoływania, a w międzyczasie wykonała telefon do sekretarki Davisa i poinformowała ją o naszym przybyciu.

— Jak pan sobie życzy, dyrektorze — odpowiedziała radośnie. *Czy ta kobieta mogłaby czasami wybuchnąć złością lub przynajmniej się ze mną podroczyć?* Maribel była niesamowicie opanowana, a przy tym taka weso- lutka. Czasami naprawdę mnie to irytowało, ale była jedyną pewną osobą w moim otoczeniu.

Wchodząc do windy, odwróciłem się do grupki pracowników, którzy również czekali.

— Proszę jechać następną i wracać do pracy. To wszystko na dzisiaj — poinformowałem ich stanowczo, wciskając guzik z numerem sześć- dziesiąt sześć.

— Tak jest, panie dyrektorze — odpowiedziała stojąca na przodzie kobieta, gdy drzwi windy się zamykały.

— Maribel, czy umówiłaś spotkanie z moim ojcem? — zapytałem asystentkę i włożyłem ręce do kieszeni.

— Tak, panie dyrektorze, powiadomiłam jego asystenta o spotkaniu z panem. Napisał wiadomość, że prezes Wilson jest wolny w porze lunchu i chętnie zje z panem wspólny posiłek.

Szlag! Nienawidziłem lunchów z ojcem, bo zawsze kończyły się kilkoma drinkami. Stary Wilson był zawodowym graczem, który nie przebiegał w słowach, a swoimi czynami mógłby zawstydzić niejednego młodzieniaszka. Właśnie trwało jego siódme małżeństwo i jeśli dalej by tak pędził, to przed sześćdziesiątką byłby w stanie dobić nawet do dziesiątego. Sam byłem owocem jego drugiego małżeństwa, które trwało niecałe dwa lata. Moja matka zachorowała i zmarła, gdy byłem małym dzieckiem. Potem poszło szybko, zmieniał kobiety jak rekawiczki. Z czwartego małżeństwa pojawił się na świecie mój młodszy brat, który obecnie przebywał gdzieś w Irlandii.

— Niech mu będzie, dopilnuj tylko, żebym z nim nie pił — upomniałem asystentkę i wyjąłem z kieszeni telefon. Odblokowałem ekran i przejrzałem nieprzeczytane wiadomości. Miałem ich chyba ze trzydzieści, z czego połowa była od Michelle. Czy ta kobieta nie mogła się ode mnie odczepić? Chyba nie dałem jej żadnego sygnału, który pozwoliłby jej uznać, że jesteśmy parą, a tym bardziej narzeczeństwem.

— Dobrze, panie dyrektorze. Według harmonogramu w południe ma pan dwa spotkania z potencjalnymi klientami, którzy pragną współpracować z Wilson Group na arenie międzynarodowej.

— Jakie kraje tym razem wchodzi w grę? — Zaciekawiony zerknąłem na Maribel, która przeglądała pocztę w swoim telefonie.

— Japonia, Korea Południowa oraz Chiny.

— Rynek wschodni... — westchnąłem. — Znajdź tłumacza i przygotuj wstępne umowy wynajmu kancelarii oraz przygotuj zestawienie kosztów związanych z transakcją międzynarodową.

— Tłumacz już na nas czeka, a wszystkie dokumenty są u pana na biurku. Przygotowałam je z wyprzedzeniem wedle wszelkich procedur — odparła natychmiast, a ja poczułem dumę. *Maribel potrafiła się spieszyć i przygotować wszystko przed czasem, i to bez konsultacji ze mną.*

— Jesteś coraz lepsza, Maribel. To zapewne dzięki moim radom i wskazówkom, którymi raczę cię każdego dnia, czyż nie? — zapytałem bezpośrednio, gdy winda się zatrzymała na naszym piętrze.

— Oczywiście, dyrektorze. Pana wskazówki są naprawdę pomocne w pracy, zwłaszcza te o nadgodzinach, dzięki którym jestem w stanie wszystko zorganizować — odpowiedziała i wyszła z windy. Ruszyłem za nią.

— Pamiętaj, że za te nadgodziny dostajesz godziwą rekompensatę w postaci dodatków i premii.

— Jestem za nie bardzo wdzięczna, panie dyrektorze, jednakże urlop również by mi się przydał — podkreśliła słowo „urlop” wystarczająco mocno, abym zanotował to w pamięci. Być może kiedyś wyślę Maribel na urlop, ale tylko wtedy, gdy będę pewny, że firma bez niej się nie zawali.

— Pomyślę o tym, a tymczasem przywitajmy naszego głównego księgowego. — Ruszyliśmy długim korytarzem podzielonym na boksy. Każdy gabinet był wykonany ze szkła, dzięki czemu można było swobodnie zobaczyć, co pracownicy robią w środku.

Zatrzymaliśmy się przed drewnianymi, białymi drzwiami, na których widniała tabliczka „Główny dyrektor ds. budżetu, Franklin Davis”. Poprawiłem krawat, włożyłem jedną rękę do kieszeni spodni, drugą odpiąłem guzik marynarki. Maribel otarła się o mnie, otwierając drzwi, a moje nozdrza wypełnił cudowny, cytrusowy zapach. Zazwyczaj czułem od niej słodki, truskawkowy aromat, ale dzisiaj były to pomarańcze i cytryny. Z zachwytu przymknąłem na chwilę oczy, ale moją radość zepsuły okrzyki Davisa.

— Dyrektorze Wilson! Jak miło pana widzieć!

Otworzyłem szybko oczy i popatrzyłem na tego kretyna w wieku zbliżonym do mojego ojca. Jego głowę pokrywały siwe włosy i zakola. Nosił tanie garnitury, zapewne z popularnych marketów, oraz kolorowe koszule. Za sam wygląd powinienem go zwolnić, jednak jego skrupulatne liczenie każdego grosza trzymało go na stanowisku.

— Witamy, dyrektorze Davis, proszę zająć swoje miejsce. — Maribel, jak zawsze profesjonalna, zajęła się oczywistymi sprawami, umożliwiając mi swobodne wejście do środka. Gabinet Davisa był malutki w porównaniu z moim biurem. Przy oknie stało biurko, a przed nim dwie dwuosobowe, skórzane kanapy oraz stolik. Po prawej i lewej stronie stały

regaly z segregatorami poukładanie rocznikami. Sam zająłem miejsce na kanapie, gdy Davis nerwowo zasiadał przede mną. Maribel zamknęła drzwi i stanęła za mną, aktualizując mój harmonogram w telefonie.

— Dyrektorze, na wstępie chciałbym oficjalnie pana przeprosić...

— Dyrektorze Davis — przerwałem mu, rozglądając się na boki. W końcu skupiłem wzrok na szklanym oknie i pięknym widoku Nowego Jorku. Nie lubiłem zbyt wysoko, dlatego mój apartament znajdował się na parterze, jednakże biura firmy musiały znajdować się wysoko, tak samo jak jej status. Widoki rekompensowały mi tę niedogodność. — Wilson Law Group to jedna z najbardziej prestiżowych kancelarii prawniczych na świecie. Zrzesza najlepszych adwokatów, prokuratorów oraz sędziów w tym kraju. Współpracujemy również z innymi krajami, aby pomagać prywatnym przedsiębiorcom w prowadzeniu ich działalności. Czy uważa pan, że pańskie dziecinne zachowania pomogą nam w utrzymaniu naszej nienagannej reputacji?

— Uważam, że...

— Nie interesuje mnie, co pan uważa, gdyż odpowiedź jest oczywista. Pana domniemania lub użalanie się nad sobą nie wniosą do tej sprawy nic nowego. — Ponownie mu przerwałem i skierowałem na niego złośliwie spojrzenie. — Swoje obowiązki wykonuje pan bez zarzutu. Chciałbym, aby również pańskie życie prywatne nie miało najmniejszego wpływu na grupę. To, co pan robi z żoną w domu, to pańska sprawa, ale proszę zadbać, aby więcej nie świecił pan gołym tyłkiem w brukowcach.

Davis przełknął głośno ślinę, a tuż za plecami usłyszałem powstrzymującą się od śmiechu Maribel. Ta sytuacja nie była ani trochę śmieszna, za to naraziła firmę na ogromne straty. Pamiętałem doskonale fotografię na głównej stronie „New York Timesa”, przedstawiającą goły tyłek Davisa przepraszającego na kolanach swoją żonę. Takie sytuacje to doskonała okazja, aby nasi inwestorzy się od nas odwrócili. Na szczęście Maribel udało się doprowadzić do usunięcia zdjęć Davisa ze wszystkich mediów i napisać sprostowanie do „Timesa”. Gdyby nie ona, pewnie teraz siedziałbym przy stole z inwestorami i błagał ich o pozostanie w Wilson Law Group.

— Oczywiście, dyrektorze, taka sytuacja się nie powtórzy — odpowiedział, nerwowo ściskając dłonie na kolanach. — Będę bardziej uważał i dbał o to, aby mój wizerunek nie naruszył reputacji grupy.

— Musi pan zrobić sobie wakacje i wrócić do nas w lepszym nastroju. Daję panu pięć dni wolnego. — Odwróciłem się do Maribel, która natychmiast schyliła się do mnie. Szepnąłem jej na ucho: — Wypisz go ze wszystkich spotkań do końca tygodnia i dopilnuj, aby wyjechał za granicę. Do przyszłego tygodnia nie chcę go widzieć w tym mieście, a najlepiej w całych pieprzonych Stanach Zjednoczonych.

— Oczywiście, dyrektorze. — Maribel pośpiesznie zaczęła pisać coś w telefonie, a ja wstałem ze swojego miejsca. Zapiąłem marynarkę i wyciągnąłem rękę w kierunku Davisa. Niech dozna chociaż raz tego zaszczytu.

— Widzimy się za tydzień, zrozumiano?

— Naturalnie, dyrektorze Wilson. — Davis uściśnął moją dłoń i skinął głową. — Do widzenia.

— Do widzenia — odpowiedziałem i wyszedłem z jego gabinetu. Z trudem powstrzymałem się od zwolnienia tego pajaca, ale niech mu będzie. *Niech potraktuje to jako sowite wynagrodzenie za te wszystkie lata ciężkiej pracy, ale o premii może zapomnieć.*

Zamknąłem za sobą drzwi i pozwoliłem Maribel działać w spokoju. Sam udałem się do swojego gabinetu, który znajdował się na końcu korytarza.

Moje biuro było łącznikiem boksów z lewej i prawej strony, jego ściany nie były wykonane ze szkła. Chwyciłem złotą klamkę i pociągnąłem do siebie. Wszedłem do środka i przeszedłem przez pierwszą część gabinetu, w której stały kanapa, stolik oraz barek z drogimi szkockimi trunkami, do drugiej, tej właściwej — z biurkiem, skórzanym fotelem oraz regałem z książkami i dokumentami. Wszystko wykonane było z dębowego drewna polakierowanego na bursztynowy kolor. Dodatki takie jak lampy, ramki, posążki były wykonane ze srebra i złota. Ceniłem sobie klasykę, ale tylko w miejscu pracy.

PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —



1. ZAREJESTRUJ SIĘ
2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA
Helion 

O Liamie Wilsonie jego własny ojciec mówi, że to nadęty buc. W dodatku ma rację. Liam, dyrektor, a już wkrótce prezes rodzinnej firmy prawniczej, kocha władzę, luksus, drogie alkohole i piękne kobiety, a najbardziej kocha samego siebie. W podwładnych budzi tyleż strachu, co podziwu. Podziwia go również Maribel, asystentka, która pracuje dla niego od niemal dziesięciu lat i na której Liam zawsze może polegać. Dziewczyna zna go być może lepiej niż on sam, dostrzega wszystkie jego wady, ale musi też przyznać, że jest diabelnie pociągającym facetem... A przy tym szefem, który nigdy nie przekracza granic służbowej znajomości. Dopiero kiedy Maribel oznajmia, że chce odejść, a na horyzoncie pojawia się Lucas, młodszy brat Liama, przystojny i wyraźnie zainteresowany piękną asystentką, dyrektor Wilson zaczyna rozumieć, jak ważna jest dla niego ta kobieta. Nie tylko jako profesjonalna pomoc biurowa...

Jak się zakończy rywalizacja braci i czy któryś z nich zdobędzie serce Maribel?

Odpowiedź znajdziecie w nowej powieści Angeliki Łabudy —
dajcie się porwać tej historii!

Uwaga! Grozi zaczytaniem!

PATRONI MEDIALNI:



ebook dostępny na:

ebookpoint

ISBN 978-83-283-8182-7



9 788328 381827

cena 39,90 zł